

Polska 1944/45. Studia i materiały, t. 5: *Życie codzienne w Polsce 1945–1955*, Warszawa 2001, Instytut Historii PAN, ss. 329

Piszący te słowa z zainteresowaniem zapoznał się z tomem poświęconym życiu codziennemu w Polsce pierwszego powojennego dziesięciolecia, gdyż problematykę tę można zaliczyć do bliskiej mu historii społecznej. Nie wszystkie teksty tam umieszczone podpadają pod termin *życie codzienne*, o czym jeszcze będzie mowa, ale większość w tej czy innej formie do różnych jego przejawów nawiązuje. Będzie to zarazem okazją, by zwrócić uwagę na pewne charakterystyczne cechy prac historycznych dotyczących okresu omawianego w tej serii i w tym tomie. Ujawniają się w nich bowiem zarówno tendencje do prezentacji zgodnej z zasadami naukowego dziejopisarstwa, które powinny jednakowo obowiązywać we wszelkich publikacjach historycznych, jak i wyraźne uchybienia w stosunku do tych zasad.

Zacznijmy jednak od wstępu napisanego przez wydawców, którzy prezentują problematykę tomu oraz autorów zamieszczonych w nim rozpraw. Wyjaśniają także powody, dla których publikowane teksty nie stanowią „w pełni spójnej całości” (s. 7). Do tych powodów należy

brak zadowalającej definicji życia codziennego. Wypada zgodzić się z autorami wstępu, gdy podkreślają, że nie ma zgody co do zakresu i desygnatów terminu „życie codzienne”, ale warto zauważyć, że najważniejsze terminy filozoficzne i systematyka większości dziedzin nauki są także przedmiotem zasadniczych czasem sporów. Niesporne są tylko terminy dotyczące przedmiotów banalnych i na ogół mało ciekawych. Potężna i wielojęzyczna biblioteka dzieł dotyczących „życia codziennego” przekonuje, że ujęcia generalne, a nawet próby syntezy (jeśli w ogóle można myśleć o syntezie zjawiska tak wielostronnego i przez to samo już trudnego do generalizacji, jak życie codzienne) nie są wcale rzadkie. Co innego brak badań poświęconych problemom z omawianego zakresu, ta okoliczność istotnie może uniemożliwić odtworzenie podstawowych zagadnień życia codziennego. Powstaje jednak pytanie, czy szczupłe siły i środki rozdzielono zgodnie z naturalną mapą problematyki życia codziennego, czy też w jakiś inny sposób.

Sporządzimy naprzód spis uwzględnionych w tomie tematów. Oto one: „Dźwięki i ikonosfera stalinowskiej Warszawy” (podajemy oryginalny tytuł, gdyż nie podejmujemy się przekazywania treści artykułu swoimi słowami¹); życie codzienne w Warszawie w latach 1949–55; Fundusz Wczasów Pracowniczych; Niemcy w oczach publicystów „Tygodnika Powszechnego” i „Kuźnicy”; „stalinowski aparat partyjny” na Lubelszczyźnie; propaganda antyamerykańska; „kawały” polityczne jako informacja o rzeczywistości; codzienność w więzieniach; religijność Polaków tych lat.

Zanim zajmiemy się analizą tego materiału, zwrócimy uwagę na manierę, która dużo mówi o nastawieniu autorów znacznej części prac poświęconych okresowi 1944–1989, nie tylko tych publikowanych w omawianym tomie. W spisie treści, zawierającym dziewięć rozpraw, trzy razy pojawia się przymiotnik „stalinowski”, a dwa razy „peerelowski”. Również w tekście autorzy korzystają z każdej okazji, aby te przymiotniki wtrącić nawet tam, gdzie jest to zbędne. Przecież już napisali, jakiego okresu dotyczy cały tom. Nikt nie kwestionuje takich terminów jak *stalinizm*, czy *okres* albo *ofensywa stalinizmu*. Ale czy nie dziwnie brzmi tytuł, w którym autor zapewnia, że aparat partyjny na Lubelszczyźnie był stalinowski. A czy był jeszcze jakiś inny, niestalinowski? Od biedy można zaakceptować przymiotnik *peerelowski*, choć autorzy traktują to jako określenie deprecjonujące, czy mające wywołać obrzydzenie, inni zaś odmieniają je w różnych prześmiewczych wariantach i ochrztili tak cały okres od 1944 r., choć termin pojawił się dopiero w 1952 r. Widać stąd, do jakiego stopnia współcześni autorzy są niewolnikami właśnie *stalinowskiej* i *peerelowskiej* propagandy. Cechą tej ostatniej była skrajna polityzacja i ideologizacja wszystkiego wokół. Nawet pietruszka była albo „socjalistyczna”, albo „burżuazyjna” oraz „imperialistyczna”. Trzeba przypomnieć, że na terenie nauk historycznych funkcjonowało hasło, a nawet zasada „partyjności nauki”, co oznaczało, że i historyczna pietruszka musiała być zaopatrzona w groźne zaklęcia i przymiotniki. Na tym tle język wielu

¹ Niezależnie zresztą od treści tego tekstu żywy sprzeciw budzi nazwanie Warszawy tych lat „stalinowską Warszawą”. Nie było żadnej stalinowskiej Warszawy. Treścią życia miasta są setki tysięcy ludzi pracujących, uczących się, odpoczywających, chorujących, zajmujących się sportem, siedzących na zebraniach itd. itp. Wówczas nie były to setki tysięcy stalinowców, lecz normalni ludzie o konstrukcji fizycznej i psychicznej podobnej do dzisiejszej, a tylko bardziej przez los sponiewierani. Nawet ówczesni **prawdziwi** stalinowcy nie wymyślili określenia „stalinowska Warszawa”, jest to współczesny neologizm (wynałazek?) autora. Jeśli jednak ten ostatni, który urodził się ponad 20 lat po zakończeniu omawianej tu epoki, używa słowa „stalinowski” dla oznaczenia pewnego okresu historycznego, tak jak wówczas (bo przecież nie dzisiaj) mówiono o „piastowskim Wrocławiu”, i nie wyczuwa dwuznacznego sensu swoich słów, to do ich skorygowania powołani byli przecież redaktorzy tomu.

autorów z omawianego kręgu to jeszcze nie historiografia, a dopiero kontrpropaganda i najwyżej polemika. Jest to zjawisko uwarunkowane politycznie, generacyjnie, środowiskowo i psychologicznie. Może będzie okazja do dyskusji nad tym problemem jako elementem historii historiografii, na pewno jednak nie w tym miejscu. Zauważymy tylko, że twórczość autorów najmłodszego pokolenia wykazuje, co jest naturalne, wpływy swych mentorów, zarówno dobre, jak i złe.

W tym obrazie życia codziennego rzuca się w oczy nieobecność szerokich rzesz społeczeństwa, a więc mieszkańców wsi, stanowiących wówczas większość ludności kraju, dalej mieszkańców miast, spędzających w fabrykach, biurach, wyższych uczelniach i szkołach przynajmniej trzecią część doby, a taką samą lub jeszcze większą część swego czasu przebywających w mieszkaniach (warunki mieszkaniowe!) lub w ich pobliżu (w tym w sklepach, czyli najczęściej w kolejkach). Codziennosc w więzieniach, to także codzienność, ale jej opis nabiera sensu wtedy, gdy nie pominie się tej części ludności, która jakoś wówczas nie siedziała w więzieniu, a stanowiła, np. w 1950 r., ok. 99,6 % ogółu². Natomiast z logiki kontrpropagandy wynika zasada, którą określić można jako **turpizm** historyczny. Wygląda niekiedy na to, że — z wyjątkami — autorów i redaktorów nie interesuje to, jak różne kategorie rodzin — ani więźniów, ani aparatczyków — wiązały koniec z końcem, jak i na jakim poziomie zapewniały sobie zaopatrzenie w żywność, odzież, obuwie i inne artykuły, jak jednostki i rodziny należące do różnych środowisk spędzały czas wolny i to w 90 albo i 95 procentach bynajmniej nie na imprezach organizowanych przez partię i ZMP. Jak wyglądało życie młodzieży w szkołach i na wyższych uczelniach, czy oprócz propagandy politycznej były tam jakieś inne problemy, trudności, a może i — *excusez le mot* — osiągnięcia, indywidualne, grupowe i środowiskowe. Można by tę listę zagadnień ciągnąć jeszcze bardzo długo. Otóż niektórych autorów zdaje się interesować tylko to, co można zinterpretować w sposób niekorzystny dla ówczesnego reżimu co pomaga w jego — że użyję terminu z tamtych czasów — *razoblaczeniu*, słowem prawie wyłącznie **turpia**, obrzydliwości, raz groźne, a raz wyszydzone, powiedzmy, w „kawałach”. Jeśli nawet zjawiska wchodzące w grę zostały opisane w sposób zgodny z rzeczywistością, to przecież istota rzeczy nam umyka: może cel polityczno-propagandowy został osiągnięty, ale czy został również osiągnięty cel naukowy?

Przejdźmy do bliższego zapoznania się z kolejnymi artykułami. Pierwszy to wymieniony już przez nas z tytułu, a napisany przez Błażeja Brzostka. Autor deklaruje, że przedstawi wrażenia przechodnia z przechadzki po Warszawie w 1953 r. Oto rozdziałki tego opracowania: budownictwo (ruiny, dźwigi, Pałac Kultury w budowie), tramwaje (tłok), wozy i dorożki, megafony (wrzeszczące propagandę i sowiecką, a także „ludową” muzykę) oraz bikiniarze, tańczący boogie woogie, młodzież (brutalna i używająca brzydkich wyrazów), uliczny handel, dalej: „Ludzie bardzo dużo mówią” — oczywiście złorzeczą, ale (kolejny rozdziałek: „Tajemnica służbowa”) boją się czynić to głośno, chyba że (poprzedni rozdziałek) w pełnym po brzegi kościele. Trudno byłoby zebrać sensownie w całości te wrażenia przechodnia, które częściowo dotyczą spraw, nie dziejących się wcale na ulicy. Trzeba przyznać, że werbalny opis ikonosfery i audiosfery jest rzeczą trudną, w dodatku autor w znacznej części odwołuje się w opisie ówczesnej Warszawy do ówczesnej paryskiej „Kultury”, w tym do świadka tak dalekiego, jak Władysław Pobóg-Malinowski (s. 22), oraz do tekstów powstałych po 45–50 latach. Dlatego trudno było piszącemu te słowa zdefiniować treść artykułu.

² Obliczone na podstawie tabelki na s. 239 i *Rocznika statystycznego RP 2000*, s. XXXVI.

Kolejny artykuł, to „Życie codzienne w Warszawie w okresie Planu Sześcioletniego” pióra Jerzego Eislera. Znajdujemy tu więcej wzmianek o życiu codziennym miasta i jego ludności, choć scharakteryzowane wyżej podejście do tematu jest tu szczególnie widoczne. Wystarczy wspomnieć, że 3 stronie (na 20) zajęły wywody na temat Pałacu Kultury i Nauki, a całość pozostałej działalności budowlanej i urbanistycznej, która bezpośrednio wiązała się z życiem codziennym (mieszkania!) oraz wyznaczyła obraz miasta na następne dziesięciolecia, poświęcono **jedno zdanie** (s. 47).

Następny artykuł (Dariusza Jarosza) poświęcony został Funduszowi Wczasów Pracowniczych (1945–1956). Jest to obszerna (60 stron druku) rozprawa oparta głównie na materiałach archiwalnych, zawierająca wszechstronną analizę omawianego zjawiska istotnego samo przez się, a ściśle związanego z życiem codziennym ludności pracującej najemnie, a także z przemianami obyczajowymi w ogóle. Poza wyrażeniem uznania dla autora dodam dwie uwagi: Do organizowania wczasów pracowniczych przystąpiono przed wojną przede wszystkim z inicjatywy organizacji robotniczych, w tym Robotniczego Towarzystwa Turystycznego. Druga uwaga: w omawianym okresie panowała w wielu środowiskach opinia o rozpuszczeniu, panującej jakoby „na wczasach”, co wartoby skomentować.

Trudno zaliczyć artykuł Wojciecha Lenarczyka do tytułowej tematyki tomu, gdyż poglądy na kwestię niemiecką w elitarnych bądź co bądź czasopismach „Tygodnik Powszechny” i „Kuznica” z pewnością do tej problematyki nie należą. Wspominano już natomiast o artykule Dariusza Libionki poświęconym aparatowi partyjnemu Lubelszczyzny. Wydaje się, że autor okazał się w pewnym stopniu bezradny wobec swego tematu, gdy okazało się, że ma do czynienia z grupą raczej słabo wynagradzaną, żyjącą w trudnych warunkach i terroryzowaną przez zwierzchników. „Warunki pracy aparatu stalinowskiego” (s. 147) też były nędzne. Nawet wykroczenia członków tej grupy były małe, płaskie i powszechne, dominowało bowiem picie wódki. Gdzie tym ludziom do „Nowej klasy wyzyskiwaczy”? Nic dziwnego, że wnioski są dość nijakie (s. 170–171).

Zbigniewa Romka „Walka z «amerykańskim zagrożeniem» w okresie stalinowskim” w swej warstwie faktograficznej zawiera sporo konkretnego materiału, którego wymowę już z góry określa przyjęty temat, obejmujący politykę kulturalno–propagandową władz w owym okresie. Może tylko autor angażuje się w te polityczne spory z dawnych lat mocniej niż przystało na historyka, gdy cieszy się, że Kazimierz Rudzki nie prowadził zabaw ZMPowskich, a tylko instruował, jak to robić. „Szczęśliwie tak inteligentni i błyskotliwi konferansjerzy rzadko prowadzili zabawy ZMP–owskie” (s. 199). Ciekawe, czy ówczesni ich uczestnicy byli tego samego zdania. Niezbyt natomiast udane wydają się polityczno–moralistyczne wywody na zakończenie artykułu³.

Nie ulega wątpliwości, że dowcipy, czy „kawały” (omówione w artykule Tomasza Szaroty) mogą być wykorzystywane jako źródło historyczne odnoszące się i do ówczesnej rzeczywistości i do jej percepcji. Pod warunkiem (jednym z wielu), że ówczesne „kawały” nie zostały przefiltrowane przez *obecną* poprawność polityczną. Zauważymy przy tej sposobności, że najbardziej

³ Choć autor powołuje się na ks. Piwowarczyka (przypis 38), jednak chyba pomylił opozycję monizm–dualizm z opozycjami typu: idealizm–materializm, idealizm–realizm, materializm–spirytualizm. Często określano doktrynę teistyczną, właściwą Kościołom, jako idealizm obiektywny, i to nie tylko „propaganda komunistyczna”, lecz i przedstawiciele innych kierunków. Prawda, że Marks i Engels, a za nimi ich zwolennicy, wytworzyli swoistą typologię filozoficzną, nie było to jednak następstwem jakiegoś „błędu Engelsa”, o którym pisze autor, lecz świadomym zabiegiem. Zob. W. Tatarkiewicz, *Historia filozofii*, t. III, Warszawa 1958, s. 60–62 (i inne wydania).

intensywny żywot wiodły „kawały” w środowisku inteligenckim, a nawet intelektualnym, i do niego przede wszystkim odnosić się powinny wnioski. Drugie spostrzeżenie: import „kawałów” z ZSRR, tu skwitowany 2–3 zdaniem, odgrywał podstawową rolę. Poza wyraźnie lokalnymi, znaczna część należała do kategorii importowanych, które można było usłyszeć tak w innych krajach wschodnioeuropejskich, jak i przede wszystkim w Rosji, z której pochodziły.

Trudno komentować tekst pióra Tadeusza Wolszy o więzieniach. Może tylko warto zaznaczyć, że dotyczy on w zasadzie więźniów politycznych. Od nich pochodzą prawie wszystkie świadectwa wspomnień. Jest to zresztą powszechna i zrozumiała reguła. Kolejny tekst, Jana Żaryna o religijności, wydaje mi się bardzo interesujący i ściśle wiąże się z tematem tomu. Niektóre tezy autora budzą wątpliwości, lecz jest to rzecz drugorzędna wobec kawału prawdziwej historii, która ten artykuł odtwarza. Można sobie wyobrazić, ile bezcennego materiału w tych kwestiach zawierają archiwa kościelne, zwłaszcza na szczeblu parafii (wraz ze sprawozdaniami proboszczów), i to pomimo niezbędnej wówczas daleko posuniętej ostrożności.

W tomie zamieszczono również, widocznie jako przyczynek do „życia codziennego”, tekst słynnego autora „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy” Sergiusza Piaseckiego. I tu zachodzi sprzeczność między wstępem do tomu, według którego list „otwarty” (?), datowany na 27 kwietnia 1946 r. został wysłany na *dwa miesiące* przed ucieczką Piaseckiego na Zachód (s. 10), a wstępem do dokumentu opracowanym przez A. K. Kunerta, według którego ucieczka nastąpiła *trzy dni* po napisaniu listu (s. 312). W tym ostatnim wypadku mamy do czynienia z tekstem faktycznie przeznaczonym do druku zagranicą, w prasie emigracyjnej, co też istotnie miało miejsce. Pomijając treść listu (i komentarza wydawcy do niego), o której trzeba by napisać więcej, niż to warto w zestawieniu z innymi tekstami zawartymi w tym tomie, chyba każdy się zgodzi, że ta różnica dat ma dla oceny wartości listu jako świadectwa zasadnicze znaczenie.

Analiza kolejnych tekstów opublikowanych w omawianym tomie uzasadnia wyżej sformułowane uwagi ogólne. Niektóre teksty wnoszą niemało, niektóre noszą charakter bardziej polemiczny niż poznawczy. Kierunek badań jest godny kontynuacji, oby w przyszłości było w nich więcej materiałów zbliżonych do pierwszej kategorii, niż do drugiej, bo motyw polemicznego nie da się oczywiście nigdy wyeliminować. Oby jednak, przede wszystkim, w centrum zainteresowania znaleźli się liczebnie przeważający, zwykli obywatele Polski Ludowej. Byłoby także dobrze, aby w przyszłości nie ograniczano badań głównie do okresu „stalinowskiego”, gdyż sprzyja to częstemu utożsamianiu w praktyce publicystycznej i par naukowej warunków tego okresu z całą historią lat 1944–1989.

Janusz Żarnowski
Warszawa